



**DR HAB.
ANDRZEJ ZAWADZKI**

Adiunkt w Katedrze Antropologii Literatury i Badań Kulturowych na Wydziale Polonistyki UJ. Wykładał również literaturę polską na Université de la Sorbonne, Paris IV. Jego zainteresowania obejmują między innymi teorię literatury, komparatystykę, metodologię nauk humanistycznych, dwudziestowieczną filozofię hermeneutyczną oraz kulturę Rumunii XIX i XX wieku. Autor książek: *Nowoczesna eseistyka filozoficzna w piśmiennictwie polskim pierwszej połowy XX wieku* (2001); *Literatura a myśl słaba* (2009, przetłumaczona na angielski, w 2013 roku ukazała się nakładem wydawnictwa Peter Lang jako *Literature and Weak Thought*); *Obraz i ślad* (2014); *Myśl mocna, myśl słaba* (wyb., przeł. i oprac. M. Surma-Gawłowska i A. Zawadzki, 2015); *Constantin Noica i filozofia XX wieku* (red. J. Kornaś-Warwas i A. Zawadzki, 2018).

Wiedziałem od razu

WIEDZIAŁEM OD RAZU: to stanowczo nie było – i zresztą nigdy potem nie będzie – moje miasto. Duże, nieprzyjazne, szare, przytłaczające, wywoływało we mnie odczucia bliskie agorafobii: odnosiłem wrażenie, że wciąż na mnie patrzy, że nie mam się gdzie przed tym wzrokiem ukryć, wołałem nie pytać nikogo o nic, żeby nie zdradzić – pewnie i tak widocznej w zachowaniu, ubiorze – swej obcości, którą zapewne od razu odczytano by, ze względu na status administracyjny owego miasta, za gorszość. Pochodziłem z małego miasta (choć z Wielkimi Tradycjami), jednak nawet w nim nie czułem się wówczas swojo, bo mieszkalem na wsi, wchłoniętej przez to małe (choć z Wielkimi Tradycjami) miasto, lecz nie do końca jeszcze zintegrowanej w miejską tkankę (w domu wciąż mówiło się: „jadę do miasta”). Jak więc miałem się czuć komfortowo w mieście wielkim, pchającym się w górę („niech się mury pną do góry”), w którym, na dodatek – od dawna już w moim – nie moim małym mieście (choć z Wielkimi Tradycjami) zapadły w dogmatyczną drzemkę – duch dziejów wciąż niebezpiecznie akcelerował? Byłem wszak przyzwyczajony do czasu spokojnie przewidywalnego i, by tak rzec, bezpiecznie reglamentowanego, do przestrzeni ułożonej i scentralizowanej, tymczasem w dużym mieście czas płynął inaczej: szybciej; przestrzeń była inna: bardziej otwarta, ale też jakby bardziej chaotyczna, nieprzewidywalna, trudniejsza do ogarnięcia; panowały tam inne mity, nawet sny miałem tam inne, niemoje. Poza tym tutejsi kibole byli wrogami nas – ultrasów podupadłego wówczas (choć z Wielkimi

Tradycjami) piłkarskiego klubu. Była to dopiero moja druga wizyta w tym mieście, wcześniej odwiedziłem je na kilka dni, żeby wystartować w innej, (quasi)olimpijskiej konkurencji, ale już wtedy wiedziałem na pewno: to stanowczo nie było – i zresztą nigdy potem nie będzie – moje miasto.

Była wczesna wiosna (marzec? kwiecień? – nie pamiętam dokładnie) 1988 roku, aura raczej zimna i nieprzyjemna, wszyscy czuli, że „stare” się kończy, czy raczej trwa jeszcze, jakby oczekując już swego nieuchronnego końca, z którym zdawało się pogodzone, a nowe – cóż, o nowym mało kto miał chyba wówczas jakiegokolwiek klarowne pojęcie, a już na pewno nie trochę odklejony od rzeczywistości, żyjący w świecie literackich fikcji nastolatek z prowincji. Ten stan zawieszenia, jakiejś ciszy przed burzą, wyczuwałem w tym mieście ostrzej niż w spokojnej, habsburskiej Galicji, położonej – *o Dei gratia!* – na obrzeżach tak zwanej wielkiej Historii, która podobno działa się w mieście, do którego przyjechałem.

Z samego eventu nie pamiętam zbyt wiele, nie jawi mi się wyrażnie ani w poetyce realistycznej, ani sentymentalnej, jeżeli już, to w trochę groteskowej. Na szczeblu kwalifikacji okręgowych (skojarzenia z piłkarską ligą okręgową były oczywiste) stworzyłem rozprawkę o przemianach postaci bohatera powieści realistycznej, bo już wtedy – przyszłego nihilistę – pociągały mnie wszelkie nowoczesne, literackie postaci: zniekształcone, pokraczne, chore, nienormalne. Na etapie oralnym przedstawiłem jakąś śmiałą teorię dotyczącą ewolucji poezji renesansu i baroku, z wypiekami na twarzy opowiadając o gnijących siedemnastowiecznych kadawerach przeciwstawionych pięknu klasycznych, szesnastowiecznych ciał. Ku jawnej ucieście pewnego docenta z ówczesnej Wyższej Szkoły Pedagogicznej umknęło mi to, że Sęp Szarzyński XVII wieku w ogóle nie dożył, owszem, zmarł nawet przed Janem z Czarnolasu. Dowcipnie broniła mnie pani doktor z herbowym sygnetem na palcu, którą miałem potem zaszczyt poznać na studiach.

Na szczeblu centralnym (czyli w Lidze Czempionów) musiałem wyjść z ławki i zastąpić w naszej skromnej kadrze nadwrażliwego klasowego Geniusza od literatury, którego w niej, nie wiedzieć czemu, zabrakło. Pewnie zachorował na (piękną) duszę. Pojechaliśmy tylko we dwoje,

z koleżanką (przyszłą Geniuszką). Podróż pociągiem do wielkiego miasta odbyliśmy w towarzystwie buńczucznej i owianej sławą niezwykłej kadry z konkurencyjnego teamu z naszego małego (choć z Wielkimi Tradycjami) miasta. Dalej był pobyt w jakimś hoteliku z trzema chłopakami, którzy potem zostali moimi najlepszymi kolegami ze studiów, i nocne cnotliwych młodzianków rozmowy. O dziwo, czułem miłe napięcie przed wejściem do sali, w której nasze długopisy miały przez bodaj cztery godziny skrzypieć na śnieżnobiałych kartkach papieru. Moje kartki musiały nieść ciężar niezdarnych wywodów dotyczących dokumentu i fikcji we współczesnej literaturze. Inspirowały mnie do twórczości kuszące krótkie spódniczki i oszałamiające, głębokie dekolty koleżanek – rywalek. Etap drugi: stawka rosła, emocje sięgnęły zenitu. Znow opowiadałem coś o nowoczesnej prozie, nad którą, błady i pokurczony, ślecząłem byłem w nudne, ciągnące się w nieskończoność letnie miesiące (pewnego dnia znajoma góralka, u której mieszkaliśmy w wakacje, niejaka pani Zosia, o eleganckim pseudonimie Sophie, wypowiedziała do mojej matki te prorocze słowa: „Jezus Maria, Ewusiu, ten Andzejek to ino cyto i cyto, on kiedysi zwariuje ot tego cytania”). Następnie pytano z gramatyki, gramatykę jakoś ogarniałem, ale tylko łacińską, dodatkowo nie wiedziałem, co to jest indeks *a tergo* (sprawdziłem dopiero niedawno), owo znajome łacińskie *a tergo* kojarzyło mi się obsesyjnie z czymś robionym „od tyłu”, ale bałem się nieświadomości, więc nie chcąc się wygłupić wybrałem wyniosłe milczenie i starałem się wytrzymać ciężki wzrok pani od językoznawstwa.

Wreszcie – powrót z wielkiego miasta do miasta małego (choć z Wielkimi Tradycjami) znow pociągiem, tym razem konkurencyjna ekipa, którą wyjątkowo ominęły laury, urażona, podróżowała w osobnym przedziale. Z koleżanką (przyszłą Geniuszką) ściskaliśmy kurczowo tuby z dyplomami.*

* Autor tekstu informuje, że wszelkie podobieństwo do osób występujących w tym tekście jest przypadkowe i niezamierzone.